



Nieświęci ze Świętego Wawrzyńca

2023-06-14

Napad na rodzinę Gajowerów z ul. Zwierzynieckiej, dokonany przez nieznanych bandytów 5 marca 1909 r., zbulwersował cały Kraków. Jak wiadomo, krakowska dyrekcja policji natychmiast rozesała rysopisy sprawców do wszystkich lokali gastronomicznych, hoteli oraz noclegowni. Rzecz jasna, nie pominięto także dość specyficznych zakładów, które ulokowały się w okolicach ulic Berka Joselewicza, Miodowej oraz w innych kazimierskich zaułkach.

Właśnie w takim przybytku Bachusa i Wenery, mieszczącym się przy ul. św. Wawrzyńca, pracowała pani Estera Namow. Późnym wieczorem w niedzielę 7 marca uwagę jej zwrócili dwaj młodzi ludzie, którzy mogli swoim wyglądem odpowiadać z grubsza dostarczoną przez policję rysopisom. Podejrzenia stały się pewnością, kiedy zobaczyła, że jeden z nieznajomych ma przy sobie rewolwer. W Warszawie taka broń była atrybutem rewolucjonisty, w Krakowie zaś bandyty. Pani Estera poinformowała o swoich podejrzeniach Szmila Reinkrauta, właściciela lokalu, oraz stróża Henryka Spielvogla. Uczyniła to chyba zbyt nerwowo, bo podejrzeni goście nagle postanowili zapłacić rachunek i opuścić lokal. W tej sytuacji posyłanie po policyjny patrol straciło sens. Prawdziwi, czy też rzekomi bandyci mieli się zaraz rozpuścić w ciemnych kazimierskich zaułkach. W tej sytuacji gospodarz lokalu oraz stróż podjęli odważną decyzję i wyruszyli w ślad za podejrzanymi osobnikami, wyraźnie zmierzającymi w stronę podgórskiego mostu. Na szczęście dla śledzących przy moście funkcjonowała restauracja, w której z reguły dyżurował agent policyjny. Henryk Spielvogel wszedł więc tam prosić o fachową pomoc. Miał fart. W lokalu było dwóch stróżów prawa, czyli agent policyjny Franciszek Rus oraz plutonowy wojskowej straży policyjnej Mikołaj Mucha.

Pościg na moście

Obaj funkcjonariusze natychmiast wyszli z lokalu i ruszyli za podejrzanymi, którzy zdążyli wejść na most. Prawdopodobnie już wcześniej mieli oni świadomość, że mogą być śledzeni, a więc zerkali do tyłu. Idący za nimi cywile mogli być przypadkowymi przechodniami. Pojawienie się postaci w policyjnych mundurach zmieniło sytuację. Na tę zmianę zareagowali natychmiast, rzucając się do ucieczki. Jednego z uciekających zatrzymali wspólnie Franciszek Rus i Szmil Reinkraut. Później okazało się, że był to Roman Bejm, jeden z uczestników napadu na rodzinę Gajowerów. Doprowadzony na posterunek policyjny – w języku urzędowym nazywany „ekspozyturą”, a w gwarze przestępczej „łapucarnią” – początkowo twierdził, że zupełnie nie zna mężczyzny, z którym przypadkowo szedł przez Kazimierz i absolutnie bezpodstawnie został tak brutalnie zatrzymany. Jednak po jakimś czasie stał się rozmowny i to jego zeznania w znacznym stopniu ułatwiły śledztwo i stały się jedną z podstaw sporządzenia aktu oskarżenia w „sprawie Gajowerów”.

Drugi z podejrzanym był zdecydowanie bardziej zdeterminowany. Nie tylko szybciej uciekał, ale także zaczął się ostrzeliwać. Pierwszą jego ofiarą był Józef Iglicki, agent krakowskiej policji, który przypadkowo wchodził właśnie na most podgórski. Widząc uciekającego człowieka i goniących go ludzi, z których jeden był w mundurze, usiłował zatrzymać uciekiniera i zastąpił mu drogę. Jak następnego dnia donosiła krakowska prasa: „Uciekający skierował rewolwer ku p. Iglickiemu i dał strzał, mierząc w piersi; za pierwszym poszły dwa dalsze, poczem (!) bandyta pobiegł dalej. Pierwszy



ze strzałów trafił p. Iglickiego w okolice żołądka i uszkodził go lekko, albowiem kula doznała osłabienia z powodu futra, uderzyła w notes i akta, tych wszakże nie przebiła, zesunęła się więc w bok i utkwiała w skórze. Rannego opatrzyło natychmiast przybyłe pogotowie ratunkowe i odwiozło do mieszkania”.

Sprytna kryjówka

Sytuacja była bardzo niebezpieczna. Uzbrojony bandyta biegł ulicami i mógł zabić nie tylko kogoś z pościgu, ale także zupełnie przypadkowego przechodnia. Co prawda, był to niedzielny wieczór, jednak na ulicach spotykało się jeszcze sporo ludzi. Zamykano ostatnie lokale; wracali do domów nie tylko restauracyjni birbanci, lecz także barmani, kucharze i kelnerzy. Jednym z nich był Eisig Schwarzenberg, któremu wystrzelony przez bandytę pocisk przebił płuco.

Uciekający wyraźnie nie znał Podgórza i po przebiegnięciu mostu skierował się w prawo, czyli w stronę podgórskiej ekspozytury policji. Strzały zaalarmowały funkcjonariuszy. Jak następnego dnia po tych wydarzeniach pisał „Czas”: „Zerwał się z łóżka kierownik ekspozytury, starszy komisarz Dr Krzyżanowski i zabrawszy pogotowie policyjne, przyłączył się do pościgu”. Uciekający dobiegł w końcu do ulicy, która nazywa się dziś Krasickiego – a wówczas, przed przyłączeniem Podgórza do Krakowa, nosiła nazwę Kołłątaja – i zniknął w bramie dość skromnej kamienicy oznaczonej numerem 7. Oczywiście do budynku wpadli ścigający, czyli wspomniany już plutonowy Mikołaj Mucha oraz dwaj funkcjonariusze, którzy dołączyli się do pościgu, czyli sierżant Paula i policjant Szandrowski. Choć to się może wydawać nam dziwne, to dopiero „po trwających godzinę poszukiwaniach znaleźli bandytę, ukrytego w zamkniętym (!) miejscu ustępowym”.

Zakończenie sprawy

Zatrzymanemu nie brakowało tupetu. Wkraczających do wiadomego przybytku policjantów przyjął z wielkim oburzeniem i domagał się wyjaśnienia, czego właściwie od niego chcą. Protestował też przeciwko doprowadzeniu do podgórskiej łapucarni, czyli c.k. Ekspozytury Policji w Podgórzu, gdzie starszy komisarz Stanisław Dębno Krzyżanowski natychmiast rozpoczął przesłuchiwanie obu zatrzymanych. Około północy przybyli do Podgórza: radca policyjny Władysław Pomian Swolkień, komisarz dr Stanisław Gulkowski, komisarz dr Rudolf Krupiński oraz niezawodny inspektor Bronisław Karcz.

Noc z 7 na 8 marca 1909 r., czyli z niedzieli na poniedziałek, była dla krakowskiej policji bardzo pracowita, ale też bardzo owocna. Osobnik ujęty w domu przy ul. Kołłątaja, który przedstawił się jako Jan Szlęzak, wypierał się wszystkiego i nadal uparcie twierdził, że nie wie, „dlaczego aresztowano go gwałtownie w miejscu ustępowym (!), gdzie wyszedł prosto z łóżka”. Drugi z zatrzymanych Roman Bejm był zdecydowanie bardziej skłonny do współpracy. Jej efektem była wizyta policji w domu nr 20 przy ul. św. Jana. Aresztowano tam około godziny drugiej nocy dwóch ludzi, czyli – jak sami się przedstawili – Józefa Hemma i Alfreda Słonia, obu pochodzących z Królestwa Polskiego. Około godziny trzeciej cała czwórka trafiła „pod Telegraf”. Nie przebywała tam jednak długo, jako oskarżeni o poważne przestępstwo szybko trafili do więzienia św. Michała.

Michał Kozioł